

Jerzy Ficowski

Wiersze z tomu *Wszystko to czego nie wiem*

Puste miejsca po

1. Tu był wysoki horyzont: biegł jak kot po dachach, przeskakując kominy. Nie ma już tej ulicy. Horyzont uciekł w pola, za Wisłę. Po domach, które tu były, zostało niebo – ciemniejsze niż naokół, jak ściana pod zdjętym obrazem. Gołębie z nawyku przelatują wyżej, a wieczorem zapala się księżyc na czwartym piętrze powietrza.
2. Noc jest pustym miejscem po dniu. Dwuwymiarowa jest ciemność. Dopiero dalekie poszczekiwanie psów z okolicznych wsi odbudowuje przestrzeń. I znów rozlegają się zagubione odległości. Gdybyś ruszył przed siebie na oślep, działałbyś tyleż, co trwając nieporuszony. I tak ciemność miniesz dopiero o świetle. Ale psy – znaki czuwających wiorst – upewniają, że nie wszystko jeszcze stracone.
3. Puste miejsca po kimś nigdy nie bywają puste. Rozrastają się we wszystkich kierunkach, nie wystarcza im obszar wyznaczony dla żywych. Ten, którego już nie ma, nie mieści się w ciasnym kręgu ogarniającym go za życia. Odkąd zniknął, zamieszkuje wszystkie miejsca jednocześnie, wypełnia najbardziej niepojęte pojemności. Jego materia nieuchwytna, jego duch dotykalny zastępuje nam wszystkie drogi, staje się kretem w czarnoziemie naszych snów. I dopiero czas wypiera go z opanowanych przezeń posiadłości. Ale i wtedy miejsce nie jest puste ani przez chwilę. Kiedy milknie żywa pamięć, która jest tworzywem tych, co odeszli, ostatnia ich siedziba bywa zaorywana pod nowe sady i nowe cmentarze. Cudze sady i obce cmentarze, nie podległe naszym obrządkom.

* * *

nie zdołałem ocalić
ani jednego życia
nie umiałem zatrzymać
ani jednej kuli
więc krążę po cmentarzach
których nie ma
szukam słów
których nie ma
biegnę
na pomoc nie wołaną
na spóźniony ratunek
chcę zdążyć
choćby poniewczasie

5 VIII 1942

Pamięci Janusza Korczaka

Co robił Stary Doktor
w bydlęcym wagonie
jadącym do treblinki dnia 5 sierpnia
przez kilka godzin krwiobiegu
przez brudną rzekę czasu
nie wiem
co robił Charon dobrowolny
przewoźnik bez wiosła

czy rozdał dzieciom resztę
zdyszanego tchu
i zostawił dla siebie
tytko mróz po grzbiecie
nie wiem
czy kłamał im na przykład
małymi dawkami
znieczulającymi
iskał spocone główki
z płochliwych wszy strachu
nie wiem
ale za to ale potem ale tam
w treblince
całe ich przerażenie cały płacz
były przeciwko niemu
ach to było już tylko
ileś tam minut czyli życie całe
czy to mało czy dużo
nie było mnie tam nie wiem
zobaczył Stary Doktor nagle
że dzieci się stały
stare jak on
coraz starsze
tak musiały dogonić siwiznę popiołu
więc kiedy go uderzył

askar czy esesman
zobaczyły że Doktor
stał się dzieckiem jak one
coraz mniejszym i mniejszym
aż się nie urodził
odtąd razem ze Starym Doktorem
pełno ich nigdzie
wiem

Sześćioletnia z getta zebrząca na Smolnej w 1942 roku

ona nie miała nic
prócz oczu na wyrost
w nich całkiem niechcący
dwie gwiazdy dawidowe
może by je zgasiła łza
więc płakała
Jej mowa
nie była srebrem
warta co najmniej
splunięcia odwrócenia głowy
jej mowa płaczliwa
pełna garbatych słów
więc zamilkła
Jej milczenie
nie było złotem

warte co najwyżej
5 groszy może marchew jaką
bardzo grzeczne milczenie
z żydowskim akcentem
głodu
więc umarła

Odczytanie popiołów

w piątek na zakościełnej
Jeruzalem wzbiera
powstają złotouste
izajasze świec
pod szyldem
szatan cynamon i ska
sary małki Judyty
kładą się do snu
na swoich piersi
dwugarbnych wielbłądach
wiozą gwiazdy na zasiew
koźlątko na postronku
mówi negew negew
i wszyscy wysiadają na środku pustyni
będą pod Sochaczewem swoje gwiazdy siać

Egzekucja pamięci

Gdy pierwsze łaty śniegu

tają

na błotach

pod miasteczkiem

chlupoczą kamasze

wraca czarny

pochód chasydów

siwobrodych

poznaję starego Apcie

gawrony

sylabizują kanciasto

hebrajskie wersety

gałązek

Tu stała kiedyś bóżnica

z ptasią dzwonnica topoli

Konary wzniesione

jak ręce

witają salwę ciszy

i pamięć zabita pada

bezzlistnym szkieletem cienia

na wznak

i nagły upływ czasu

znów roztopami broczy

* * *

Muranów góruje
na warstwach umierania
fundament wsparty o kość
piwnice w wyrwach
opróżnionych z krzyku
Było nie było jest jak jest
Jest spokój jęków uprzątniętych
czarna łuna zdechłego ognia
mocno stoi Muranów
na pochówku pamięci
większość listów dochodzi
Było nie było jest jak jest
I ja jak on wy dźwignięty
na powierzchnię popiołu
pod gwiazdy z tłuczonego szkła
Było nie było jest jak jest
chciałbym tylko milczeć
a milcząc kłamię
chciałbym tylko iść
a idąc depczę

Twoje matki obie

Biecie z miłością

Pod Torą nadaremna
pod uwięzioną gwiazdą
urodziła cię matka
masz dowód na nią
niezbity nie zabity
bliznę pępka
znak rozstania na zawsze
które cię nie zdążyło zabość
to wiesz
Potem spałaś w tobołku
wyniesionym z getta
ktoś powiedział że w skrzynce
skleconej gdzieś na Nowolipiu
z dopływem powietrza
bez dopływu strachu
ukrytej w wozie z cegłą
Wymknęłaś się w tej trumience
zbawiona ukradkiem
z tamtego świata na ten świat
aż na aryjską stronę
i ogień zajął
pusty kąt po tobie

Wiec nie płakałaś
płacz bywał śmiertelny
luminal cię usypiał
swoją kołysanką
I prawie cię nie było
żebyś mogła być
A matka
ocalona w tobie
mogła już wstąpić w tłumną śmierć
szczęśliwie niecała
mogła zamiast pamięci dać ci
na odjezdne
podobieństwo do siebie
i datę i imię
aż tyle
I zaraz się zakrzętnął
koło twego snu
ktoś przygodny naprędce
i został już na długie zawsze
i obmył cię z sieroctwa
i spowinał w miłość
i stał się odpowiedzią
na twoje pierwsze słowo
To twoje matki obie
nauczyły cię

tak nie dziwić się wcale

kiedy mówisz

J e s t e m

Onegdajszność

pod murem

ślepej ściany września

w której zarosły okna

gdzieś przy ulicy bezimiennej

tak blady

że aż poziomy

stałem

oparty o kręgosłup z lodu

blady że wszystkie biele

ciemniały bił puls wapna

stałem przebrany w

biały strach

ochronny

lufy węszyły

mój niknący siad

a może to

było gdzieindziej

prawdopodobnie gdzieś tam

zapewne nigdzie

może to było

kiedy indziej
prawdopodobnie kiedyś
zapewne nigdy
może to był kto inny
prawdopodobnie ktokolwiek
zapewne nikt
piszę to po latach
po mnie
za – po – mnie

Twarzą do ziemi

Zbierało się na kanonadę
(kule latały nisko)
na padnij
twarz oddawałeś ziemi
uciekałeś z niebem na karku
przed śmiercią przed ojczyzną
gdzie twoi zmarli polegli
przed życiem się chronią
(odznaczeni pośmiertnym milczeniem)
wśród gorzkich żalów piołunu
pod płomykami rozchodników
nastawiałeś ucha
na przemarsz mrówek

komunikaty chlorofilu
które dyktują nam ziemię
a wszyscy nieobecni
(Bóg o wielu twarzach)
byli w tobie przez chwilę
Jesteś
I opuszczają cię żywego
jak od zmarłych odchodzą wszy

Tadeusz Gajcy

Przed odejściem

Porasta jesienna mgła
mój kraj jak włosem siwym.
Lecz nim pożegnam go
dłonią z męczeńskiej gliny,
lecz nim się zgodzę z koroną
cierniowych lip i wezmę
w bok mój i serce bezbronne
ciemność jak ostre narzędzie,
niech błyskawicy lament
znów mnie na wieczność wywoła,
bym uniósł sam siebie jak palmę
i płomień poczuł u czoła.

Po kościach zdeptanych idąc
porównam żywioł z żywiołem,
gwiazdę zawistną nazwę,
co nad mą głowa czeka
młodość przywrócę i miłość
snom niewinnego człowieka,
nad którym wół i osiołek
i anioł smutny się zwiesza.

Nogą ognistość przejdę
jak ptak przez obłok przechodzi,

aby pod brzozą zwęgloną
mrówkę pochować nieżywą -
I dłonie rzucę do wody,
aby nie mogły zapłonąć,
gdy przyjdzie spocząć pod krzyżem.

Śpiew murów

Nocą, gdy miasto odpłynie w sen trzeci,
a niebo czarna przewiąże się chmurą,
wstań bezszelestnie, jak czynią to dzieci,
i konchę ucha t a k przyłóż do murów.

Zaledwie westchniesz, a już cię doleci
z samego dołu pięter klawiatura
w szumach i szmerach skłębionej zamieci
minionych istnień bolesny głos chóru.

"Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śniesz,
nucąc wrześniami żałobny nasz tren."

- Biegłam rankiem po chleb do piekarni
(a chleba dotąd czekają tam w domu),
a ja leżę z koszykiem bezradnie,
tuż za rogiem, nie znana nikomu...

- Właśnie ręką chwyciłam za granat,
żeby czołgi przywitać nim celnie,
ziemia była spękana, zorana -
nagle świat mi się zaćmił śmiertelnie...

- Myśmy obie wyniosły na noszach,
jeszcze kocem okryły mu nogi,
bo krzyczeli dokoła, że pożar...
Ja na świstku pisałam: "Mój drogi..."

"Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śniesz,
nucąc wrześniami żałobny nasz tren."

Słuchaj tych głosów żalosnych żarliwie,
nim brzask poranny uciszy je w niebie
i nowe miasto w napiętej cięciwie
dni tryumfalnych na nowo pogrzebie.

Słuchaj tych głosów, bo po to szczęśliwie

ocalon został w tragicznej potrzebie,
byś chleb powszedni łamał sprawiedliwiej
i żył za tamtych i za siebie lepiej.

Jak nie kochać strzaskanych tych murów,
tego miasta, co noca odpływa,
kiedy obie z greckiego marmuru -
i umarła Warszawa, i żywa.

Temu który przyjdzie

Z tamtej strony, gdzie mała kolumna
nieba świeci, u stóp ziemi drętwej
my jesteśmy. Pomysł sen i ból nasz
napojony pulsowaniem rzeki,
kwiatów szmerem w powietrzu nietrwałym
słyszysz jeszcze prosty jak organy.

Czas, co smutne ciało ma weselić,
kłosy zgina niebieskie jak dachy
miasta twego i obłoków kielich
chyli w młodość muzyczna. Więc w blasku
rzeczy stoisz, w rękach nic pejzażu
wijesz jasna, jak my złe żelazo.

Ach, tak się dziejom jutrzennym napatrz,
jak my twarze w płomieniu kute
zwracaliśmy, gdzie grom swoje światło
jak fontanny podnosił łódkę.
Lecz się kochać nie ucz tych ogni,
bo sen łatwy - lecz smutek pod nim.

Bo wystarczy nam jedna ziemia,
choć stron cztery i nieba obszar
dziwnie płaski stoi jak z cienia.
Tylko jednej za mało miłości,
by sen przebyć i stanąć powtórnie
dłoń bezbronna unosząc jak strunę.

Wisława Szymborska

W biały dzień

Do pensjonatu w górach jeździłby,
na obiad do jadalni schodziłby,
na cztery świerki z gałęzi na gałąź
nie otrząsając z nich świeżego śniegu
zza stolika pod oknem patrzyłby.

Z bródką przyciętą w szpic,
łysawy, siwiejący, w okularach,
o pogrubiałych i znużonych rysach twarzy,
z brodawką na policzku i fałdzistym czołem,
jakby anielski marmur oblepiła ludzka glina -
a kiedy to się stało, sam nie wiedziałby,
bo przecież nie gwałtownie, ale pomalutku
zwyżkuje cena za to, że się nie umarło wcześniej
i również on tę cenę płaciłby.

O chrząstce ucha ledwie draśnietej pociskiem
- gdy głowa uchyliła się w ostatniej chwili -
"cholerne miałem szczęście" mawiałby.

Czekając aż podadzą rosół z makaronem
dziennik z bieżącą datą czytałby,
wielkie tytuły, ogłoszenia drobne,
albo bębnił palcami po białym obrusie,
a miałby używane od dawna dłonie
o spierzchłej skórze i wypukłych żyłach.

Czasami ktoś od progu wołałby:
"panie Baczyński, telefon do pana"
i nic dziwnego w tym nie byłoby,
że to on i że wstaje obciągając sweter
i bez pośpiechu rusza w stronę drzwi.

Rozmów na widok ten nie przerywanoby,
w pół gestu i w pół tchu nie zastyganoby,
bo zwykle to zdarzenie, a szkoda, a szkoda,
jako zwykle zdarzenie traktowanoby.

Żołnierz radziecki w dniach wyzwolenia do dzieci polskich mówił tak:

Kruche bywają ściany domów
gdy pocisk wojny godzi w domy.
Nie płaczcie polskie dzieci w schronach.
Będziemy oszczędzali gromów.
Nie chcemy ranić waszych miast.
Nie chcemy ranić waszych wsi.
Najszybszym frontem przez wasz kraj
będziemy tropiąc wroga szli.
Więc najmniej bomb. Więc najmniej zgłiszcz.
Umiemy bardzo celnie strzelać.
Bo wiemy – gorzko się umiera
na dziesięć minut przed wolnością.

Nie jedna wolność to – lecz dwie.
Bliźniaczki. Siostry bystronogie.
Bo też i Hitler co tu wszedł
nie jest jedynym waszym wrogiem.
Jest jeszcze wróg – co ojców karki gwał
młodość i starość im odbierał.
Za młodość i za starość ich
odpowie on przed wami teraz.

Dziś otwieramy wam nadzieję,
której wy jutro podołacie.
Niech was nie trwoży to natarcie.
Front jak wiosenny deszcz przewieje.

Źródło: „Życie Literackie”, 13/1951

Koniec i początek

Po każdej wojnie
ktoś musi posprzątać
Jaki taki porządek
sam się przecież nie robi.

Ktoś musi zepchnąć gruzy
na pobocza dróg,
żeby mogły przejechać
wozy pełne trupów.

Ktoś musi grzęznąć
w szlamie i popiele,
sprężynach kanap,
drzazgach szkła
i krwawych szmatach.

Ktoś musi przywlec belkę
do podparcia ściany,
ktoś oszkląć okno
i osadzić drzwi na zawiasach.

Fotogeniczne to nie jest
i wymaga lat.
Wszystkie kamery wyjechały już
na inną wojnę.

Mosty trzeba z powrotem
i dworce na nowo.
W strzępach będą rękawy
od zakasywania.

Ktoś z miotłą w rękach
wspomina jeszcze jak było.
Ktoś słucha
przytakuje nie urwaną głową.
Ale już w ich pobliżu
zaczną kręcić się tacy,
których to będzie nudzić.

Ktoś czasem jeszcze
wykopie spod krzaka

przeżarte rdzą argumenty
i poprzemieni je na stos odpadków.

Ci, co wiedzieli
o co tutaj szło,
muszą ustąpić miejsca tym,
co wiedzą mało.
I mniej niż mało.
I wreszcie tyle co nic.

W trawie, która porosła
przyczyny i skutki,
musi ktoś sobie leżeć
z kłosem w zębach
i gapić się na chmury.

źródło: https://poezja.org/wz/Wislawa_Szymborska/97/Koniec_i_poczatek

Stanisław Lech Zelle,

Któż Wam wyśpiewa pieśń...

Któż Wam wyśpiewa pieśń, kiedy pierś ściśnięta.
Któż Wam wystawi pomników monument.
Ziemia czarna została , ziemia prochem święta
I historii okrutnej strzępiasty dokument.
Czasem pamięć zarośnie, boleść w śmiech się zamieni.
Piorun ciemność rozświetli, obraz blady pokaże.
Krew się już nie szczywieni, popiół zmiotą grabarze...
Nie żegnały was werble i nie były wam dzwony.
Kiedy w otchłań rzucały czarne śmierci ramiona,
Nocą płomień wam świecił, pożerając miliony.

Ludzkie cierpień historia skończona.

Tadeusz Słowacki

POLEGŁYM

Nauczono was w szkole wolności

Umierać w amarantach, trwać na posterunku,

Z katechizmu , gdzie w kartach bielejące kości

I żołnierz, strzelający z ostatnich ładunków.

Wpisała wam legenda w znaki tożsamości

Nielitościwie mało, a tak bardzo dużo:

Imię, numer, krwi grupę w wielkiej troskliwości –

Wiedz jaka, gdy czerwoną już będzie kałużą.

A polegliście w piasku, nie na mokrej łące,

Za mnie, wcześniej ode mnie o tych kilka dni.

Zostały po was plamy dłonie mi palące

Krwi zakrzepłej, bandażu i niemęskie łzy.

Czesław Miłosz

Szedłem dzisiaj przez ogród

Szedłem dzisiaj przez ogród od wiosny zamglony
alejami skąd widać ulicy zwałiska.

Wiatr tu rozwiewa murów popalonych złomy,
skrzypi żwir. Kropla deszczu i drzew na czoło pryska.

Jakieś pary na szczątkach ławek. Niebo chmurne.
W taką wiosnę przystanąć, na ścieżce rysować
i z myśli wszystkich wrogich, walących się szturmem
jedną wybrać, jak łódkę wiozącą przez powódź.

Więc myślałem kim jestem. Jestem człowiek nagi,
co nic nie miał i nie ma, choć wszystkiego czeka.
I dziwi się, skąd w oczach ma tyle powagi,
skąd upór i skąd w sercu płomienista rzeka.

Myślałem dalej, jestem sam sobie nieznany,
co z mozołem opowieść trudną w sobie czyta,
jak ktoś, kto jadąc poprzez oceany
ziemię widzi i nie wie jak ta go przywita.

Wiosny żadnej nie pragnę. Nie słabość mi każe
tak całą dumę ludzką spokojnie odrzucić.
Pole, gdy je sierpowi stratuja żniwiarze
tak długo leży puste, choć ma kłosem wrócić

Wolno mi tylko mówić, jak można najprościej,
to czego dotknie ręka i zobaczą oczy.
Dzień każdy, kamień głuchy w wielką toń przyszłości
i milcząc na chleb czarny pracują prorocy.

Wiem, że można rycerskość, męstwo i niezłomność
złożyć i zamknąć w metrze kwadratowym ziemi.
Żadne się pokolenia o to nie upomną
i ani krzyż ni pomnik mogił nie ocieni.

Bogi wszystkie zawodzą. Zostawmy w spokoju
religie, co dzwonami wśród sztandarów huczą.
A kiedy barbarzyńcy miecz ogniem uzbroją
z nimi razem pobitym pieśń śpiewają kruczą.
Doczesna zemsta ludzi i niebieska bogów –
obie nade mną wiszą. Która gorsza, nie wiem.
I cień swój w nocy widzę i stoję na progu,
a mój dom za mną drżącym dogasa zarzewiem.
Tylko cierpliwie czekam, aż we mnie wyrosną
nowe ziarna, a nowe mnie obmyją świty.
I na pochmurnej ścieżce tak witam się z wiosną
i z głową spuszczoną idąc przez ogród rozbity.
Warszawa, 1941

Miasto

Nad ruinami wstaje dzień, wędrowny grajek pustym oknom gra,
Z głową na bok schyloną skoczne tony ze skrzypki wywodzi.
A w oknie tylko niebo, gołębi miga ćma,
I tak w tej rannej ciszy świat nowy się rodzi.

I wiatr, gdy struny drutów pękły, martwe drzwi otwiera,
Na których klamce dotąd pozostał niezmyty
Ślad ręki przepadłego bez wieści bohatera,
I toczy po pokoju dziewczyny zabitej
Szczesany z włosów puch.

A serce bije. Słuchaj. Jest w tym dziw nad dziwy,

Że ono trwa, gdy wszystkie oczy patrzą - nowe,
Że wygrzebaną spod cegieł pokrywy,
Stopioną w ogniu na drzwiach wieszają podkowę

Na inne szczęście. Słuchaj. I radość, i wstyd
Żyć jeszcze raz, na nieobeszłej ziemi,
Powracać i ślubować, gdy zmarzły kasztan kwitł,
Winy dawne odkupić czynami lepszymi.

Bólu prawdziwy, sławo i niesławo,
Ty wielka, że godna jesteś jedynie milczenia,
Brzękiem słów pustych twego nie dotknie imienia,
Kto tęsknił, wie. Nie powie nic. Warszawo.

Poprzez węgierskie góry, sowieckie ugory
Szliśmy do ciebie. Znamy te noce nieludzkie,
Kiedy zgłodniałym oczom, przez otwarte chmury
Nie ty, lecz inne miasta jako stada judzkie
Jawiły się, skupione nad rzeką w dolinach.

Złych mocarstw świata były przed nami granice,
Krzywdą ludzka i rozpacz, te same w innych śpiewały językach,
W twarz nam świeciły azjatyckie, zmęczone księżyce,

Lecz gdyśmy na siebie spojrzeli - twój wzrok nas spotykał.

O Bolesna. Na gruzach praskich grająca kapela,
Mosty w dymach i serce bijące - i to wszystko.
I los - jak niebo, kiedy się rozdziela
Linią ognistą.

Że po raz drugi kształt nam ludzki oblec dano
I witać światłem buchające wieki,
Ty, żyjący, nie pytaj tamtych, co to znaczy.
Z pól, gdzie hełmy im rdzawią topniejące śniegi,
Z barykad, z placów trawą zarosłych powstaną,
Życia twojego żaden ci z nich nie przebaczy.

Grajku poranny, komu ty tak grasz,
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych.
- Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast
I najsmutniejsze z prawdziwych.

Warszawa, 1940

Ballada

Jerzemu Andrzejewskiemu

Na równinie stoi szare drzewo.
Pod nim siedzi matka w małym cieniu.
Obłuskuje jajko na twardo
I popija herbatę z butelki.
Miasto widzi którego nie było,
Błyszczą mury i wieże w południe,
Na gołębie kołujące stadem
Patrzy matka a wraca z cmentarza.

– Zapomnieli synku przyjaciele.
Nikt z kolegów ciebie nie wspomina.
Narzeczona dzieci urodziła
I o tobie nie pomyśli w nocy.
Zbudowali w Warszawie pomniki
A na żadnym twojego imienia.
Tylko matka, póki jest, pamięta
Jaki śmieszny byłeś i dziecinny

Leży Gajcy przysypany ziemią
Już na wieki dwudziestodwuletni.
Nie ma oczu ni rąk ani serca,
Nie zna lata ni zimy ni wiosny.
A co roku huczą w rzekach lody,
W ciemnym lesie zawilec rozkwita.
Czeremchami napełniają dzbanki,
Nasłuchują, co kukułka wróży.

Leży Gajcy, nigdy się nie dowie
Że warszawska bitwa zeszła na nic.
Barykadę na której umierał
Rozebrały popękane ręce.
Biegły wiatry, niosły pył czerwony,
Spadły deszcze i słowik zaśpiewał.
Pod obłokiem krzyczeli murarze,
Podciągali w górę nowe domy.

– Mówią synku, że wstydzić się trzeba,
Że niedobrej broniłeś ty sprawy.
A ja nie wiem, niechaj Bóg osądzi
Kiedy z tobą rozmawiać nie mogę.
Pokruszone twoje kwiaty w pyle,
To ta susza, wybacz mój jedyny,
Czasu mało a jeżeli przyjdę
Z tak daleka muszę nosić wodę.

Matka chustkę pod drzewem poprawia.
Świeci skrzydło gołębia na niebie.

Zamyśliła się, zapatrzyła się,
Przestwór taki wysoki, wysoki.
I tramwaik pędzi w stronę miasta,
A tam dwoje młodych za nim goni.
Zdążą, myśli matka, czy nie zdążą?
Dogonili. Wsiedli na przystanku.

Montgeron, 1958 r.

Campo di Fiori

W Rzymie na Campo di Fiori
Kosze oliwek i cytryn,
Bruk opryskany winem
I odłamkami kwiatów.
Różowe owoce morza
Sypią na stoły przekupnie,
Naręcza ciemnych winogron
Padają na puch brzoskwini.

Tu na tym właśnie placu
Spalono Giordana Bruna,
Kat płomień stosu zażegnał
W kole ciekawej gawiedzi.
A ledwo płomień przygasnął,
Znów pełne były tawerny,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli przekupnie na głowach.

Wspomniałem Campo di Fiori
W Warszawie przy karuzeli,
W pogodny wieczór wiosenny,

Przy dźwiękach skocznej muzyki.
Salwy za murem getta
Głuszyła skoczna melodia
I wzlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo.

Czasem wiatr z domów płonących
Przynosił czarne latawce,
Łapali skrawki w powietrzu
Jadący na karuzeli.
Rozwiewał suknie dziewczynom
Ten wiatr od domów płonących,
Śmiały się tłumy wesołe
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.

Morał ktoś może wyczyta,
Że lud warszawski czy rzymski
Handluje, bawi się, kocha
Mijając męczeńskie stosy.
Inny ktoś morał wyczyta
O rzeczy ludzkich mijaniu,
O zapomnieniu, co rośnie,
Nim jeszcze płomień przygasnął.

Ja jednak wtedy myślałem
O samotności ginących.
O tym, że kiedy Giordano
Wstępował na rusztowanie,
Nie znalazł w ludzkim języku
Ani jednego wyrazu,

Aby nim ludzkość pożegnać,
Tę ludzkość, która zostaje.

Już biegli wychylać wino,
Sprzedawać białe rozgwiezdy,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli w wesołym gwarze.
I był już od nich odległy,
Jakby minęły wieki,
A oni chwilę czekali
Na jego odlot w pożarze.

I ci ginący, samotni,
Już zapomniani od świata,
Język nasz stał się im obcy
Jak język dawnej planety.
Aż wszystko będzie legendą
I wtedy po wielu latach
Na nowym Campo di Fiori
Bunt wznieci słowo poety.

Warszawa - Wielkanoc, 1943

Mieczysław Uhysz " Vik"

KREW

Krew nasza jest czerwona,
Krew gna coraz prędzej,
Jak płomień bucha w chmury
I warczy na wstędze
Kulomiotów!
Hucząca, hucząca
Aortami ulicy - jak wystrzał najprościej
Pędzi w salwach do serca,
Do serca - Wolności!
Krew nasza jest czerwona,
Jest śpiewana, jest gniewna,
Opina gniazda wroga w drgających koliskach

I klamrami barykad gardziel katom ściska,
Aż padną!
Krwi mamy jak i murów ...
Krwi i murów starczy.
Niech stropy pękają, krwi potoki rosną!
Krew płodna rwie fanfara!
Krew jak werbel warczy!
Krew nasza jest czerwona,
Krew huczy potokiem,
A choć wargi zagryzione
I choć twarze białe,
O niebo sieczą salwą
Nie gorzkim morałem.

*Wiersz 'drukowany w powstańczym piśmie "Demokrata", nT 175(298) z 23 sierpnia 1944 r.,
gdzie był podpisany "Vik". W antologii Szczawieja zamieszczony jako utwór anonimowy.*

OSTATNI KOMUNIKAT

Nadajemy komunikat z Warszawy.
Nadzwyczajny komunikat z Warszawy.
stacja Armii Krajowej melduje:
Bój skończony L. nic, oprócz Sławy ...
Wieść niesiemy do wszystkich narodów,
Konferencyj, przyjaciół i braci:
Lud Stolicy za Wolność zapłacił
Swoim życiem.
Rozgłoście! Ponieście! Wolni. Wolni!
Już pełza po mieście
Trupi odór od szańców do szańców,
Milion legło wśród gruzów Powstańców.
Wolni. Wolni od kajdan i... życia.
Sztandar krwa wy łopoce na wietrze,
Sztandar strzela zwycięsko purpurą!
Wolni! Wolni!!!
Milczenie złowieszcze.
Gruz nasiąkły krwią milczy ponuro ...
Milion legło!
Spytajcie barykad, murów, piwnic i prochu ulicy,
Niech wam powie i niech wam zakrzyczy -
Jak ten milion obrońców Wolności
Ginał!
Stacja Armii Krajowej w Warszawie
Raz ostatni pozdrawia żołniersko
Wszystkich Braci walczących na świecie
O Zwycięstwo! O ... wasze Zwycięstwo!
Wolnej Francji, Rumunii, Bałkanom,
Naszym Braciom w zdobytym Berlinie
Ślemy Salut.
W płomieniach nasz Salut!!!
I nasz Salut jak Wolność tragiczny
Nad milczeniem urasta ulicy,
Jak śmierć blady!
-168 -
Zwycięstwo! Zwycięstwo!
Nad Stolicą wolności huragan

Zielonymi rękami dziś targa,
Lasem rosną milczącym i krwawym
W tym Salucie honoru i Sławy.
W świat ponieście! ponieście! ponieście!
Milion legło!
I nad tym Milionem
Chorałami jak dotąd zapłaczcie,
I zarzućcie na martwe nam głowy,
Z srebrnych ptaków,
Przybyłych ... dzień później
Kiru wstęgę i płaszcz laurowy.
Meldujemy: Wiadomość ostatnia.
Armia bratnia jest o krok, jest blisko,
na przedpolach Warszawy i zgliszczach,
Nim ostatni o Wolność padł wystrzał-
Hełm widziano -
... Rosyjski hełm błyskał...
Audycję kończymy Zwycięstwo.
Sztandar w wichrze nade mną łopoce!
Wielkość rośnie ogromna jak wieża!
... Były zrzuty. Dwa zrzuty tej nocy,
Lecz nie stało żadnego żołnierza ...
Stacja Armii Krajowej meld uje,
Że nadała swój program ostatni:
Błyskawica. Warszawa. Zwycięstwo.
Surmy! Bratnie fanfary!!
Przekleństwo.

Julian Tuwim

Ab Urbe Condita (O stanie miasta)

Autor: Julian Tuwim

Ab Urbe Condita

Zaraz nazajutrz, tj:

Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc

Dziewięćset Czterdziestego Piątego,

Kiedy skwierczące miasto

Dogorywało, jak ofiarna jałowica na religijnym stosie

I tylko drgawkami kończyn świadczyło o życiu,

Które było śmiercią,
I dyszało, konając, czadem spalenizny,
Jak sierść całopalnego zwierzęcia;
I kiedy po drabinach dymu
Już się w niebiosą wspinała Warszawa,
Aby dalekim prapokoleniom
Na wysokościach
Zaświecić kiedyś mitem astralnym,
Ognistą legendą,
A tutaj zostać wygasłym kraterem,
Kraterem wulkanu do dna wykrwawionym -
Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc Dziewięćset
Czterdziestego Piątego,
Na rogu Ruin i Kresu,
Na rogu Gruzów i Śmierci,
Na rogu Zwałisk i Zgrozy,
Na rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskiej,
Co padły sobie w płonące objęcia,
Żegnając się na zawsze, całując płomiennie -
Zjawiała się pękata warszawska babina,
Nieśmiertelna panusia z chusteczką na głowie,
Postawiła, dnem do góry, skrzynkę na rumach,
Podparła ją - meteorem: jakimś szczątkiem Miasta
I zawołała nieśmiertelnym tonem:
"Do chierbaty, do chierbaty,

Do świeżego ciasta!"

Nie widziałem jej, ale widzę:

Łzy się toczą

Z jej - mimo wszystko - uśmiechniętych oczu.

Mogła się zjawić Niobą-Żałobą,

Furią wieszczącą, panią Hiobową,

Rachelą, dzieci swoje płaczącą -

I też by jej uwierzono.

Mogła przyfrunąć wiedźmą na mietle

Czy upiorzycą w krwawiącym świetle

Dnia zgłiszczowego -

I też by jej uwierzono.

Mogła - bajeczna Wielka Piotrzyca -

W patos jambiczny zestroić słowa,

Że nowy wstanie gród z rumowisk

"Na złość dufnemu sąsiadowi" -

I też by była prawdziwa...

Mogła stanąć na skrzynce wzniosłym monumentem,

Upozować się pięknie i zadeklamować:

"Per me se va nella citta dolente" -

I nikt by się nie zdziwił.

Ach, mogła wreszcie, Klio nie Klio,
Liwiusz w spódnicy,
Siąść na kamieniach wymarłej stolicy
I byle gwoździem na byle cegle
Wyskrobać tytuł:
"Od założenia miasta"---

Ale ona-inaczej:
"Do chierbaty, do chierbaty,
Do świeżego ciasta!"
Założycielko! Pionierko! Muzo!
Dziś - stuk i łomot w całej Warszawie
Ku twojej sławie!

Dziś każdy murarz każdą nową cegłą
Pomnik twój wznosi!
I cała Polska-paniusiu! paniusiu!-
Wieczność twą głosi.
Woła gdyński port
- sława!
Wołają warsztaty łódzkie
- sława!
Śląskie kopalnie i huty

- sława!

Wrocław - miasto wojewódzkie

- sława! sława!

Szczecin - miasto wojewódzkie

- sława! sława!

Sława królowej w koronie ruin,

Której na imię po prostu: Warszawa!

źródło: https://poezja.org/wz/Julian_Tuwim/24223/Ab_Urbe_Condita_O_stanie_miasta

„Lekcja”

Ucz się, dziecko, polskiej mowy:
To przed domem – to są groby,
Małe groby, wielki cmentarz,
Taki jest twój elementarz.

Ustawiły się w szeregu
Czarne krzyże w brudnym śniegu.
Na Warszawie mrok żałoby,
Ucz się pięknej polskiej mowy.

Pod zwaloną kamienicą
Leży upiór z upiorzycą,
Wyją żółte upiorzeta...
Zapamiętasz... Zapamiętam

Nocą gniewnie przez sen krzyczysz,
Straszne ptaki w niebie liczysz,
Rano – w ziemi rozoranej
Szukasz piąstki oderwanej.

Ucz się mogił, gruzów ucz się.
Z upiorami siądź przy uczcie.
W świat potężny, w świat plugawy
Pieśń warszawskich dzieci zawyż!

Do prostego człowieka

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy "do ludności", "do żołnierzy"
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę
Ojczyznę szarpać deklinacją
I łudzić kolorowym godłem,
I judzić "historyczną racją",
O piędzi, chwale i rubieży,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
Że za ojczyznę - bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron dzienników,
A stado dzikich bab - kwiatami
Obrzucać zacznie "żołnierzyków". -
- O, przyjacielu nieuczony,

Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na trwogę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: "Broń na ramię!",
Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztytuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
Rznij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj broniąc swej krwawicy:
"Bujać - to my, panowie szlachta!"

źródło: https://poezja.org/wz/Julian_Tuwim/7456/Do_prostego_czlowieka

Tadeusz Różewicz

Ocalony

Mam dwadzieścia cztery lata
Ocalałem
Prowadzony na rzeź.

To są nazwy puste i jednoznaczne:

Człowiek i zwierzę

Miłość i nienawiść

Wróg i przyjaciel

Ciemność i światło.

Człowieka tak się zabija jak zwierzę

Widziałem:

Furgony porąbanych ludzi

Którzy nie zostaną zbawieni.

Pojęcia są tylko wyrazami:

Cnota i występki

Prawda i kłamstwo

Piękno i brzydota

Męstwo i tchórzostwo.

Jednako waży cnota i występki

Widziałem:

Człowieka który był jeden

Występny i cnotliwy.

Szukam nauczyciela i mistrza

Niech przywróci mi wzrok słuch i mowę

Niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia

Niech oddzieli światło od ciemności.

Mam dwadzieścia cztery lata

Ocalałem

Prowadzony na rzeź.

źródło: https://poezja.org/wz/Tadeusz_Rozewicz/1187/Ocalony

Władysław Broniewski

Pięćdziesięciu

Październikowy mrok, jak kat,
nad śpiącym miastem groźnie stanął,
wśród pustych ulic świszczę wiatr,
stukają buty SS-manów

i jak bredzenie ciężko chorych
przelata ulicami miasta
październikowa noc Szesnasta
z rykiem motorów. Czy upiorów?...

Warszawa nie śpi, okiem okien
rachuje auta: siedem... osiem...
Warszawa nie śpi i - drapieżna -
przyczaja się w udanym śnie,
bo sen Warszawy - to jej gniew,
a wtedy czuwa i snu nie zna.

Zerwanych mostów nie wyminą
pociągi, rezerw nie dowiozą:
już tydzień przy skręconych szynach
brzuchami świecą parowozy
i zamarł wszelki ruch na wschód,
cały garnizon trwa pod bronią.
Tylko patrole, tak jak wprzód,
chodzą z pistoletami w dłoni,
tylko po mieście, tak jak zwykle,
złowrogo trzeszczą motocykle...

Październikowa noc okrakiem
stała - czemu? - nad Pawiakiem,
rozlała śmierć po więźniów twarzach,
przez kraty przepuściła świt,
a wtedy - tupot w korytarzach
i w każdej celi klucza zgrzyt!

Apel pośpieszny, apel krótki,
jak salwa: Alle raus! - i wtem,
jak słowo, które w gardle utkwi,
ten dzień zaprzestał być już dniem.

Ich wszystkich było pięćdziesięciu.
Wiążano grupy po dziesięciu
i pchano siłą w paszcze aut,
a potem - Wola, Włochy, dworzec...
Nad wszystkim bujał, jak porzecz.
dopełniający się już gwałt.

O patrz, Warszawo, to są ci,
za których się historia mści,
to oni wolą nieugiętą
uczyli nas, jak żyć, jak bić się,
jak gardzić życiem, kochać życie,
ażebym syn i wnuk pamiętał...
O, patrz Warszawo, toż to tamci,
którzy nas mieli zmiażdżyć, stłamsić,
przed nasz są powołani sąd,
by im wyrokiem wskazać krwawym,
że siła podłych nie jest prawem,
że to bluźnierstwo, że to błąd.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
z Powiśla, z Woli byli więźni,
z warsztatów pracy, fabryk, hut...
To oni każdą z bruku cegłą
o wolność bili się, o lud,
o chleb nasz i - o Niepodległą!

Ich było tylko pięćdziesięciu,
lecz po nich poszły nas miliony
w wojennym szczęściu i nieszczęściu
ku dniom, tak wtedy oddalonym.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
a myśmy zaciskali pięście...

Obywatele, towarzysze,
nic więcej o nich nie napiszę..

1948

Ballady i romanse

"Słuchaj, dziewczeczko! Ona nie słucha..."

To dzień biały, to miasteczko..."

Nie ma miasteczka, nie ma żywego ducha,
po gruzach biega naga, ruda Ryfka,
trzynastoletnie dziecko.

Przejeżdżali grubi Niemcy w grubym tanku.

(Uciekaj, uciekaj, Ryfka!)

"Mama pod gruzami, tata w Majdanku..."

Roześmiała się, zakręciła się, znikła.

I przejeżdżał znajomy, dobry łyk z Lubartowa:

"Masz , Ryfka, bułkę, żebyś była zdrowa..."

Wzięła, ugryzła, zaświeciła zębami:

"Ja zaniosę tacie i mamie."

Przejeżdżał chłop, rzucił grosik,

przejeżdżała baba, też dała cosik,

przejeżdżało dużo, dużo luda.

każdy się dziwił, że goła i ruda.

I przejeżdżał bolejący Pan Jezus,

SS-mani go wiedli na męki,
postawili ich oboje pod miedzą,
potem wzięli karabiny do ręki.

"Słuchaj, Jezu, słuchaj, Ryfka, Sie Juden,
za koronę cierniową, za te włosy rude,
za to, żeście nadzy, za to, żeśmy winni,
obojeście umrzeć powinni."

I ozwało się Alleluja w Galilei,
i oboje anieleli po kolei,
potem salwa rozległa się głucha...

"Słuchaj, dziewczeczko!... Ona nie słucha..."

źródło: https://poezja.org/wz/Wladyslaw_Broniewski/745/Ballady_i_romanse

Tadeusz Gajcy

Wczorajszemu

Ufałeś: na niebo jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
łukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin -
Modlitwę nocnych cieni rozwieszysz jak wieniec

na słodkich oczach dziewann i szumach topolich.

Ufałeś: trzepot ptaków rozsiejesz ziarnisty,
rozległą piersią ujmiesz horyzonty, w których świat
pływa mały jak z dzieciństwa okręcik.

Klechda z omszałych lat
- świty w klechdzie powiewały krwawe -
do snu kołysała dzieci.

Taką klechdą przełamał się dzień
walczącej
Warszawy.

Wtedy -
rozwiodły się nad miastem ornamenty łun
na złotych kolcach wieżyc i bełkocie Wisły,

muzyka - lecz nie nieba - krążyła jak sen,
dziś wiesz:
to skowyt strzałów na brukach się wił,
otaczał, chodził wokół jak zbłąkany zwierz.

A tobie - dni wczorajsze w oczach nie ostygły,
ufałeś...

Księżyc sierpem zmrużone rzęsy kosił,
wśród krzyży zwijał światła purpurową nitkę;
żołnierze nieśli drżące, spokorniałe oczy
na sfruwającą powietrzem
białą Nike.

Falował spokój w ciepłej darni,
kiedy młodzi plecami wsparci o wieczność
odchodzili w głębokie posłania.
Więc nakryły ich obłoki podobne kulistym mleczom
i wiatr, któremuś wierzył - składał pocałunki umarłym.

Nie wiedziałeś, że dłoń, którą uczyłeś śpiewać,
potrafi nienawidzić i pięścią grubieć pełną,
gniewu unosić żagiew -
Ufałeś. Nie ukoił twoich ust śpiew drzewa
i oczu blask nie zajął pod kopułą hełmu,
i serca nie nasycił krzyk wbity na bagniet.

Dzień rozbrój z woni siana. Sandały zielone
niech zostawi przed progiem, na którym go czekasz -
odejmij pustkę oczom, gdy w smutku zatoną,
i nie daj mówić wiatrom o liliowych zmierzchach.
Bo kłamią. Bo śpiewają gorejącą lawą,
że znowu dłoń na niebo jak na strunę złożysz,

muzykę podasz ustom -

Dzisiaj -

w piaskach cmentarzy

powiedły echa strzałów,

wiruje błękit niski jak wczoraj łaskawy,

jak lustro.

Każ trawie, by milczała. Jej śpiew cię zadławi,

spowije watą wzruszeń i ciśnie w niepamięć.

Nim ockniesz się, już serce zagubisz w obrazie

i dłonie w przerażeniu milcząco załamiesz.

Dzisiaj

inaczej ziemię witać!

Wierzyłeś: słowiczym pieniem wierszy popłynie sława harda

i wszędzie w barwnych tęczach, obudzi się w mitach.

Nie tak.

Nazbyt duszno jest słowom na wargach

ciosanym z łun i żalu o wadze kamienia -

Myślałeś: będzie prościej.

A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,

by godziły jak oszczep.

źródło: https://poezja.org/wz/Tadeusz_Gajcy/960/Wczorajszemu

Adam Asnyk

(Chłopca mego mi zabrali)

Chłopca mego mi zabrali.

Matulu!

W świat daleki go pognali,

A ja za nim umrę z bólu -

Dałam na mszę sznur koralu,

Niechaj Pan Bóg go ocali,

Matulu!

Do szeregu poszedł z bronią.

Mój Boże!

Tam śmierć pewna - poszedł po nią.

Miłość moja nic nie może

Ani łązy go nie zasłonią

Przed zawistnej śmierci dłonią.

Mój Boże!

Nie pytają o to wrogowie.

Kto ginie.

Czy jest sercom ludzkim drogi?

Czy płacz siostry za nim płynie?

Czy umiera matka z trwogi.

Kiedy pyta śmierci srogięj:

Kto ginie?

Na kulami zaoranej.

Na roli.

Ma paść we krwi mój kochany...

Czyliż na to Bóg pozwoli.

By samotnie ginął z rany

Z dala swoich - na zasianej

Krwią roli?

Spojrzyj na nas, Ty Panienko

Przeczysta!

I nad serca mego męką

Ty się zlituj, o gwiazdzista

Niebieskiego dnia jutrzeńko!

Osłoń jego swoją ręką,

Przeczysta!

źródło: https://poezja.org/wz/Adam_Asnyk/4291/Chlopca_mego_mi_zabrali

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

Wojna to tylko kwiat

To tylko straszliwy kwiat

Rośliny, która jest Życiem;

To tylko wybuch i kolor

Ciernistych, codziennych pnączy,

Krzewiących się dziko i bitnie.

To tylko okropny kwiat

Tego, co jest -

Płomienny, aż w oczy kole,
Oczy nasze, płaczące obficie!

Kwitnąć musi, aż nie przekwitnie,
Na upiornej tracąc czerwieni,
Aż się w strzępy żółkłych gazet nie przemieni,
Aż parady swojej nie zakończy...

źródło: https://poezja.org/wz/Maria_Pawlikowska-Jasnorzewska/25609/Wojna_to_tylko_kwiat

Franciszek Karpiński

Marsz dla żołnierzy

Ojczyzna nas woła,
Z nią starce, dzieci, żony,
Kto dźwignąć broń wydoła,
Śpieszmy do ich obrony.
Nie trwóżmy się, że nas mało,
Którzy idziemy za chwałą,
Bo zawsze nie tłumy siła,
Ale wolna ręka biła.

Oto widać tor krwawy,
Dawny go Lach ubijał.
Idź, jak on szedł do sławy,
Tak stój, goń, bij --jak bijał.

Gdy ogromne ryknie działo,
Przy swych znakach róbmy śmiało;
Nie nas, bracia, bój surowy,
Ale podłe trwoży głowy.

Sławo! Czy ty na górze,
Czy cię padół uchyli,
Czyli staniesz na murze,
Iść za tobą najmilej!
Gdy się wojna ustatkuje,
Naród wieńce nam gotuje,
Wieńce za pocziwe blizny,
Odebrane dla ojczyzny.

źródło: https://poezja.org/wz/Franciszek_Karpinski/5212/Marsz_dla_zolnierzy

Tadeusz Hollender

Warszawa 1942

Dziś nad twą nocną, martwą ulicą
księżyc wylękł błyska spod chmur,
nocna stolico, martwa stolico,
dziś herbem twoim zburzony mur.

Mur poraniony, pod murem dzieci,
ostre sygnały wojskowych aut,
czarny wrzód getta i w nocy w getcie
przez mordowanych wznoszony gwałt.

Splątane w twoim sercu gościńce,
te, co z zachodu płyną na wschód,
jęczą i drgają, gdy barbarzyńcy
triumfujący tłoczy je but.

Warczące koła i gąsienice
toczą się, płaczą, wirują w krąg,
zanim się wtłoczą w twoje ulice,
witane lasem wznoszonych rąk.

Toczą się co dzień szeregi długie,
gniotą ciężarem serce i myśl,
nędza i strychez. Pawiak i szmugiel
oto twe szare, codzienne dziś.

Ze wszystkich stolic nędzna najbardziej,
najbardziej dumna spomiędzy nich,
bo nienawidzisz, walczysz i gardzisz,
wciąż wystawiona na wrogi sztych.

Oddana co dzień liczniejszym grobom,
z miast najnędzniejsza, skrzywioną twarz
okrywasz wdowią, ciemną żałobą,
lecz w nieugiętej nadziei trwasz.

Dziś nosisz szaty żałobnej wdowy,
lecz wbrew twym kirom, żałobie wbrew
szyją dla ciebie szaty godowe
białe jak nędza, krwawe jak krew.

Krój reflektorów nożyce strzygły,
miarę myśliwców określił bieg,
czekają pilne bagnetów igły,
ażeby zeszyć ostatni ścieg.

— — — —

Dziś nad twą nocną, martwą ulicą
księżyc w twych ranach broczy jak gwóźdź,
lecz jutro — jutro będziesz stolicą,
jak rosłaś kiedyś — znów będziesz rósć.

Znów błysną światła na twych asfaltach,
znów śmiech swobodnie będzie się nieść,
znów w twych teatrach, na twoich szpaltach

zadzwoń polska, swobodna treść.

I nad twą nocną w blaskach ulicą
niebo zawstydzi się swoich gwiazd...
— będziesz stolicą, będziesz stolicą,
najbardziej świetną z stołecznych miast.

Uśmiech Warszawy

Patrz, to jest dumne miasto - Warszawa,
więcej niż tysiąc okropnych dni
wlecz się sprawa trudna i krwawa,
a ona walczy, a ona drwi.

I chociaż dzisiaj broczy i krwawi,
z jej krwią pisanych, codziennych kart,
jak płomień pośród burz i błyskawic,
śmieje się co dzień jej dobry żart.

Codziennie krwawo te żarty płaci,
a jednak nie ma nocy, ni dnia,
by żart na szwabskim nie błysł plakacie
na znak, że żyje, walczy i trwa.

Na wszystkich murach co dzień obraża
szkopów, Führera i całą oś

i na latarniach, bramach cmentarza
znów „nur für Deutsche” napisze ktoś.

Wbrew szubienicom, mordom i krzyżom,
wbrew mocy, która podbiła świat,
wielka Warszawo, polski Paryżu,
śmiech na ruinach kwitnie jak kwiat.

Bo ten zwycięży, który się śmieje,
rozpacz to dzisiaj okropny grzech,
dla tych, co zawsze mieli nadzieję,
brzmi twój przekorny, zwycięski śmiech.

Dziś „nur für Deutsche” jutro „für Polen”,
zażyjesz jeszcze wolności swej,
jutro zaśpiewasz im carmagnolę,
śmiej się Warszawo, śmiej się nam, śmiej!

źródło: https://poezja.org/wz/Tadeusz_Hollender/33996/Usmiech_Warszawy

Maria Paruszeńska

Piekło na ziemi

Wiek to dwudziesty — a prawem racji,
Twórczym nazwany,
Wiek wynalazków — cywilizacji

Krwią obryzgany!

Coraz to szybciej na wojny chlubę

Nowa maszyna

Skonstruowana na ludzką zgubę,

Setki głów ścina.

Strzeleckich rowów, kul, armat mało,

Podwodnych łodzi —

Więc maszynowe stworzono działo,

Co w ludzi godzi!

O wynalazco, Coś karabiny

Podsunał wojnie,

Kiedy wybija śmierci godziny —

Skonasz spokojnie?

Ty, coś szrapnelom dał piekiel moce,

A śmierci żniwo,

Wyznaj, jak spędzasz bezsenne noce

Z Nemezis mściwą?

Bohaterowie! cóż męstwo znaczy

Wobec tej broni?

Gdy walczyć trzeba wśród min, kartaczy

W krwawej pogoni?

Dosyć już wojny na biednej ziemi,

W powietrzu, w wodzie.

Lud rozegnany między obcymi

W nędzy i głodzie.

Łzy i krew płyną jak świat szeroki.

Wegetujemy.

A rzeź i mordy wstydem epoki,

W której żyjemy.

Zakończ, o Chryste, to piekło świata

Rękojmią zgody,

Niech Człowiek w bliźnim rozpozna brata,

Połącz narody.

źródło: https://poezja.org/wz/Maria_Paruszewska/35431/Pieklo_na_ziemi

Jacek Kaczmarski

Czołg

(wg W. Wysockiego)

Gąsienicami zagrzebany w piach nad Wisłą
Patrzę przez rzekę pustym peryskopem
Na miasto w walce, które tak jest blisko,
Że Wisły nurt – frontowym staje się okopem.
Rozgrzany pancerz pod wrześniowym żarem
Rwie do ataku się i pali pod dotykiem,
Ale wystygły silnik śpi pod skrzepłym smarem
I od miesiąca nie siadł nikt – za celownikiem.

Krtań lufy pusta łaknie znów pocisków smaku,
A łyka tylko tłusty dym – z drugiego brzegu!
W słuchawkach zdjętych hełmofonów – krzyk Polaków
I nie wiem czemu rzeki tej nie wziętem – z biegu!
Dajcie mi wgryźć się gąsienicą w fale śliskie
I ogniem swoim dajcie wesprzeć barykady!
By miasto w walce, które tak jest bliskie,
Bezruchu mego nie nazwało mianem – zdrady!

Lecz milczy sztab i milczą pędy tataraku,
Którymi mnie przed tymi, co czekają – skryto.
Bo *russskij tank* – nie będzie walczył za Polaków!
Bo *russskij tank* – zaczekać ma, by ich wybito!
Gdy się wypali już powstanie ciemnym błyskiem
Włączą mi silnik i ożywią krew maszyny,
Bym mógł obejrzeć miasto – co tak bliskie –
Bez walki zdobywając gruzy i ruiny!

Barykada (Śmierć Baczyńskiego)

Tym galeonem barykady
Planetę ognia opływamy,
Nic nie widzący, niewidoczni –
Przejrzyste cienie dni.
W popiołu plusz się zapadamy,
W który zmieniły się pokłady,
Niebo się coraz wyżej złoci,
Okręt nabiera krwi.

Unoszą nas ceglane fale –
Piętnastoletnich kapitanów
W spełnienie marzeń o podróżach
W nietknięty stopą świat.
I byle prędej, byle dalej,
Wczepieni w burty potrzaskane
Nim ciało całkiem się zanurzy
W ciszę bezdenną lat.

Map popalonych czarne ptaki
Krążą dokoła gniazd bocianich,
Z których nikt nie zawoła: – Ziemia! –
By zerwać nas ze snu.
Inne dziś nas prowadzą znaki,
My już dla świata – niewidzialni –
I jeden tylko zbudzi hejnał
Żelazne kule głów.

Tubylec się perlami poci
Tam, gdzie zielona i głęboka
Rzeka wśród palm leniwie gada,
Że nadpływamy – my:
Niosący w darze huk i pocisk,
Śmierć niezawodną w mgnieniu oka,
Z którego cała nam wypadła
Planeta – grudka krwi.

23.8.1987

Młodych Niemców sen

Patrzę na młodych Niemców sen
Mocny, spokojny i bez winy
Pociąg przejeżdża wieczny Ren
W falach kołyszą się kominy

Mundur, przepustka, piwo, sznaps
I każdy w porę się obudzi
Żeby w jednostce być na czas
Tam uczą ich zabijać ludzi

Ale tymczasem ufnie śpi
Głowa na zgiętym łokciu leży
I nie o krwi zapewne śni
I w śmierć prawdziwą też nie wierzy

A pięćset kilometrów stąd
Gdzie jeszcze czuć swąd ludzkich pieców
Ich rówieśników nocny ront
Do robotniczych strzela pleców

I myśli się natrętne tłą
Gdy patrzę na uśpione głowy
To hitlerowców dzieci są
A tam, to wojsko jest ludowe

rkenau

Birkenau

Porządny w pryzmach marnuje się opał
I zimny komin zbędne ma przestoje
Mizerne niebo czeka na swój pokarm
Tłuste obłoki słodkich swądów zwoje

Skrzętni palacze gdzieś się zapodziali
Wystygły ruszta popiół tuli glina

I w bezcielesnym milczeniu umarli
Słuchają jęków głodnego komina

Po ustalonych raz na zawsze drogach
Płynie nad nimi ślepe oko Boga

1981

Zbigniew Herbert

Raport z oblężonego Miasta

Zbyt stary żeby nosić broń i walczyć jak inni –

wyznaczono mi z łaski poślednią rolę kronikarza
zapisuję – nie wiadomo dla kogo – dzieje oblężenia

mam być dokładny lecz nie wiem kiedy zaczął się najazd
przed dwustu laty w grudniu wrześniu może wczoraj o świcie
wszyscy chorują tutaj na zanik poczucia czasu

pozostało nam tylko miejsce przywiązanie do miejsca
jeszcze dzierżymy ruiny świątyń widma ogrodów i domów
jeśli stracimy ruiny nie pozostanie nic

piszę tak jak potrafię w rytmie nieskończonych tygodni
poniedziałek: magazyny puste jednostką obiegową stał się szczur
wtorek: burmistrz zamordowany przez niewiadomych sprawców
środa: rozmowy o zawieszeniu broni nieprzyjaciół internował posłów
nie znamy ich miejsca pobytu to znaczy miejsca kaźni
czwartek: po burzliwym zebraniu odrzucono większością głosów
wniosek kupców korzennych o bezwarunkowej kapitulacji
piątek: początek dżumy sobota: popełnił samobójstwo
N. N. niezłomny obrońca niedziela: nie ma wody odparliśmy
szturm przy bramie wschodniej zwanej Bramą Przymierza

wiem monotonne to wszystko nikogo nie zdoła poruszyć

unikam komentarzy emocje trzymam w karbach piszę o faktach
podobno tylko one cenione są na obcych rynkach
ale z niejaką dumą pragnę donieść światu
że wyhodowaliśmy dzięki wojnie nową odmianę dzieci
nasze dzieci nie lubią bajek bawią się w zabijanie
na jawie i we śnie marzą o zupie chlebie i kości
zupełnie jak psy i koty

wieczorem lubię wędrować po rubieżach Miasta
wzdłuż granic naszej niepewnej wolności
patrzę z góry na mrowie wojsk ich światła
słucham hałasu bębnow barbarzyńskich wrzasków
doprawdy niepojęte że Miasto jeszcze się broni

oblężenie trwa długo wrogowie muszą się zmieniać
nic ich nie łączy poza pragnieniem naszej zagłady
Goci Tatarzy Szwedzi hufce Cesarza pułki Przemienienia Pańskiego
kto ich policzy
kolory sztandarów zmieniają się jak las na horyzoncie
od delikatnej ptasiej żółci na wiosnę przez zielen czerwień do zimowej czerni

tedy wieczorem uwolniony od faktów mogę pomyśleć
o sprawach dawnych dalekich na przykład o naszych
sprzymierzeńcach za morzem wiem współczują szczerze
ślą mąkę worki otuchy tłuszcz i dobre rady
nie wiedzą nawet że nas zdradzili ich ojcowie
nasi byli alianci z czasów drugiej Apokalipsy
synowie są bez winy zasługują na wdzięczność więc jesteśmy wdzięczni
nie przeżyli długiego jak wieczność oblężenia
ci których dotknęło nieszczęście są zawsze samotni
obrońcy Dalajlamy Kurdowie afgańscy górale

teraz kiedy piszę te słowa zwolennicy ugody
zdobyli pewną przewagę nad stronnictwem niezłomnych
zwykle wahanie nastrojów losy jeszcze się ważą

cmientarze rosną maleje liczba obrońców
ale obrona trwa i będzie trwała do końca

i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie Miasto

patrzymy w twarz głodu twarz ognia twarz śmierci
najgorszą ze wszystkich – twarz zdrady

i tylko sny nasze nie zostały upokorzone

1982

Wiersz z tomu *Raport z oblężonego Miasta i inne wiersze*

17 IX

Józefowi Czapskiemu

Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco
a drogą którą Jaś Małgosia dreptali do szkoły
nie rozstąpi się w przepaść

Rzeki nazbyt leniwe nieskore do potopów
rycerze śpiący w górach będą spali dalej
więc łatwo wejdiesz nieproszony gościu

Ale synowie ziemi nocą się zgromadzą
śmieszni karbonariusze spiskowcy wolności
będą czyścili swoje muzealne bronie
przysięgali na ptaka i na dwa kolory

A potem tak jak zawsze – łuny i wybuchy
malowani chłopcy bezsenni dowódcy
plecaki pełne klęski rude pola chwały
krzepiąca wiedza że jesteśmy – sami

Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco
i da ci sążeń ziemi pod wierzbą – i spokój
by ci co po nas przyjdą uczyli się znowu
najtrudniejszego kunsztu – odpuszczania win

CMENTARZ WARSZAWSKI

ze zbioru Struna światła

Tej ściany
ostatniego widoku
nie ma

wapno na domy i groby
wapno na pamięć

ostatnie echo salwy
uformowane w kamienną płytę
i zwięzły napis
odbity spokojną antyką

przed najazdem żywych
umarli schodzą głębiej
niżej

skarżą się nocą w rurach żalu
wychodzą ostrożnie

kropla po kropli

jeszcze raz zapalają się
za byle potarciem zapalki

a na powierzchni spokój
płyty wapno na pamięć

na rogu alei żywych
i nowego świata
pod stukającym dumnie obcasem
wzbiera jak kretowisko
cmentarz tych którzy proszą
o pagórek pulchnej ziemi
o nikły znak znad powierzchni

Ostatni atak.

Mikołajowi

Pozwól na wstępie wyrazić radosne zdziwienie
że oto idziemy razem na czele naszych kompanii
w różnych mundurach różne komendy ale cel jest jeden
przeżyć

Mówisz mi to słuchaj – chyba trzeba rozpuścić
naszych chłopców do domu do Margot do Kasi
wojna tylko na defiladach jest piękna
a pozatem wiemy dobrze – błoto krew
szczury

Kiedy to mówisz lawinowy ogień artylerii
to ten łajdak Parkinson tak długo zwlekał
aż wreszcie nas dopadł gdy szliśmy nieprzepisowym krokiem
z rozpiętym kołnierzykiem pod brodą rękami w kieszeni
już na urlopie gdy nagle Parkinson przypomniał
nam że to jeszcze nie koniec że jeszcze nie skończyła się
ta cholerna wojna

Z tomu Epilog burzy

Zagajewski Adam

Spróbuj opiewać okaleczony świat

Spróbuj opiewać okaleczony świat.
Pamiętaj o długich dniach czerwca
i o poziomkach, kroplach wina rosé.
O pokrzywach, które metodycznie zarastały
opuszczone domostwa wygnanych.
Musisz opiewać okaleczony świat.
Patrzyłeś na eleganckie jachty i okręty;
jeden z nich miał przed sobą długą podróż,
na inny czekała tylko słona nicość.
Widziałeś uchodźców, którzy szli donikąd ,
słyszałeś oprawców, którzy radośnie śpiewali.
Powinieneś opiewać okaleczony świat.
Pamiętaj o chwilach, kiedy byliście razem
w białym pokoju i firanka poruszyła się.
Wróć myślą do koncertu, kiedy wybuchła muzyka.
Jesienią zbierałeś żołędzie w parku
a liście wirowały nad bliznami ziemi.
Opiewaj okaleczony świat
i szare piórko, zgubione przez drozda,
i delikatne światło, które błądzi i znika
i powraca.

Ernest Bryl

SIERPIEŃ

Warszawo moja, wpół miejska, wpół wsiowa,
Pełna nas, cośmy hurmem z prowincji zjechali,
Cośmy się niby przez gruz przegryzali.
Warszawo moja - bezkształtna, surowa
Ani taka, ni siaka. Ciężka jak zakalec,
Miasto, gdzie się dzielnica z dzielnicą rozmija,
Jak dwa okręty nie wiedzące wcale,
Że płyną obok siebie po morzu okrutnym,

Które usypia czasem, a czasem zabija ...
o miasto, moje miasto z twoim świętem smutnym,
Kiedy to w wielkiej ciszy się uczymy,
Jak się jednoczysz z nami, jak nas zespalasz
Twardziej niżli na kamień ...
Kiedy to patrzymy,
Jako się pierwsza świeczka w Powązkach zapala,
A potem światło za światłem liczymy
Powoli, dokumentnie - żeby się naumieć,
Jak żyć w tym mieście rosnącym na trumnie.

Julian Przyboś

Z POPIOŁÓW

Wydobywam was - jak z przepaści słuchu,
słyszę gruzy:
kształt wszystkich w jedną chwilę stłoczonych wybuchów,
nie domy - lecz bomb zatrzymane rozrywy.
Rozgwar i huk stuleci
skupione w chwili: miasto, gdy runęło na żywych:
zmieściliście je w swojej śmierci.
W spalonej bramie
nadziemna twarz zasypanego w piwnicy:
ciemność.
Na powalonych kolumnach
klon obwiązuje poranione ramię

pierwszym wiosennym liściem;
z popiołów nade mną
wstaje drzewo: sztandar żywiołu
wasz, niczyj.
Nad nim zorza wieczorna: ostygła z łun pożarów łuna.
Warszawa, marzec 1945

Wojciech Bąk

WARSZAWA O ZACHODZIE

Myślałem: miasto ruin. I ruiny są
I przychodzę przez gruzy ze zgrozy poblady
I wiem: te zgliszcza święte są męczeńską krwią
W mieście, gdzie tylko mury - lecz nie dusze padły.
W Starym Mieście jak ciężko stopom deptać gruz,
Uświęcony cierpieniem i wiejący sławą!
Wiatr, który w oczy wieje załzawione kurz,
Sypie się w me źrenice bolesną Warszawą.. .
... Tutaj stos bomb na domy z mściwym rykiem
spadł
Tu płomień szarpał żywe ciało miasta w złości ...
I czuję każdą ranę, każdej bitwy ślad -
A to są wielkie rany, rozdarte do kości.
Patrzyłem w te płomienie, słyszałem ten huk,
Widziałem chmury dymu z domów wypalonych ...
I znam ten krwią zalany, udręczony bruk-

I wiem - to wielkie rany - to głębokie rany...
... Ale krew jest zwycięska! Słyszę bliski szum -
To Warszawa żyjąca tłumami wyrasta ...
Są groźne rany ruin, lecz ten głośny tłum -
To zdrowa krew gojąca bolesnego miasta.
Jakby gruzów nie było - wkoło krzyk i śmiech.
Jakby nędzy nie było - ten tłum jest zwycięski -
Toczy się ulicami miasta żywa krew!
Niepamiętna pożarów, obozów i klęski!
Ja znam tę krew radosną - znam jej nagły rytm.
I słyszę - to ta sama krew niezapomniana -
Niezmieniona klęskami i ciosami bitw-
Zalewa groźne gruzy Warszawy rozśmiana.
Warszawa wiecznych nadziei. wiecznych dumnych
snów.
Stolica w Polskę sławą wparta z lwim uporem -
I słyszę w kroku tłumów głuchy pomruk lwów
I oddechem lwim Wisła oddycha wieczorem ..
Nad miastem rudy zachód wszystkie blaski dnia
Skupił. w niebo płomieniem wysoko rozlany ..
... A ja nie widzę blasku, ale grzywę lwa -
To Warszawa lwia blaskiem ponad Polską trwa
I płonącym językiem liże ruin rany!